

Sławomir Gowin

Rozrywkowy imperator

W XX wieku uczynił z restauracji miejsce prestiżowe i kulturalne. Jego *opus vitae*, nieistniejąca od ośmiu dekad warszawska „Adria”, wciąż brzmi echem dawnego kultu. Za najwyższe prawo uznał słowa z Księgi Koheleta, które kazał umieszczać w swoich kuchniach: „Bo nic dla człowieka lepszego pod słońcem, niż żeby jadł, pił i doznawał radości”.

Wieczysty bohater barwnej legendy międzywojnia, Franciszek Dawid Moszkowicz, urodził się w 1873 roku we Lwowie. Skromna żydowska familia nie dawała widoków na sukces wart więcej niż grosz ciułany pośród codziennej wrzawy Krakidałów. Początek kariery finansowej Franza (tak nazywano go we Lwowie), przyszłego pupila stołecznych elit, jest zatem frapująco mglisty. Zaprzyjaźniony z nim Kazimierz Krukowski wspomni w tomie *Moja Warszawa*, że ów „lwowianin z krwi i kości rozpoczął swoją karierę jako sprzedawca papierosów w kawiarniach i kabaretach rodzinnego miasta. Potem zaawansował na pikolaka, kelnera, »starszego«, aby wreszcie

stać się właścicielem kilku kawiarni i nocnych lokali we Lwowie, Krakowie i Warszawie”. Krukowski, czyli sławny Lopek, pisał to po drugiej wojnie, opowiadał zatem o postaci wtedy już mitycznej, której się uważnie do kieszeni nie zagląda, sycąc wyobraźnię apetyczną baśnią o karierze „od pucybuta do milionera”.

Nieco wcześniej, bo w 1934 roku – Moszkowicz podbił wtedy Warszawę – Józef Mayen na łamach żydowskiego dziennika „Chwila” nazywał go „królem lwowskich kawiarni”, którego „przedsiębiorczość i ruchliwość przyczyniła się przez szereg lat do rozwoju kawiarnianej kultury Lwowa”. Mayen, nim poświęcił się dziennikarstwu, był niezłym aktorem, zalety Moszkowicza ubarwiał więc z oratorskim fasonem: „zmieniał te kawiarnie tak jak bon vivant zmienia swoje przyjaciółki. I jak prawdziwy bon vivant potrafił te zmiany przeprowadzać z obopólną korzyścią dla swych kawiarni-kochanek. Umiał każdą z nich odpowiednio lansować, odpowiednio postawić i na jakiś czas zabezpieczyć jej przyszłość”.

Zatem ów zaiste prześwietny lwowianin w pamięci współczesnych ukazuje się jako urodzony pieszczoł opatrności, podczas gdy w rzeczywistości ścieżka do fortuny bywa kamienista. Nie inaczej było w jego przypadku.

Arcypikolak

Franz spośród żydowskiej dzieciarni szukającej szansy na miedziaka wśród ciżby handełosów wybił się wcześniej, podejmując znacznie lepiej rokującą posadę pikolaka w kawiarni „Teatralna”. W jeden organizm połączono tam restaurację, kawiarnię, czytelną prasę, nocny klub i swoistą miejską agorę. Udało się to tym łatwiej, że lokal działał całodobowo i, co nie mniej ważne, mieścił się w budynku teatru Skarbka, a więc w samym sercu miasta, dwa kroki od Krakidałów. Pikolak w „Teatralnej” był personą i bardziej niezbędną, i znacznie bardziej uniwersalną niż w zwyczajnej knajpie. Tu, jeśli był bystry i wygadany, szybko stawał się zaufanym goń-



Franz Moszkowicz

cem, powiernikiem większych i mniejszych sekretów, poślącem informacji cennych dla klienteli wszelakiej konduity, która przewijała się w ciągu doby przez lokal. Jeśli przy tym nie gubił się w meandrach tego nadzwyczajnego rezerwuaru przedsiębiorczości, jakim był pobliski krakowski rynek (wspomniane Krakidały) i dzielnica żydowska, to rychło mógł stać się trybikiem napędzającym niejednego interesik. Młody Moszkowicz, człowiek zaprawdę „wyznania handlowego”, wykorzystał te możliwości z wielkim talentem.

Sukces oparł na umiejętności pozyskiwania i inwestowania pieniędzy tam, gdzie solidny żydowski kapitał nie zawsze mógł lub chciał działać otwarcie. Nie szło tylko o prestiż. Bywa, że za wielką szansą podąża niemałe ryzyko, tymczasem szanowany kapitalista żydowski wystrzegał się etykiety ryzykanta, plałta zaś w jakimś interesie, nawet jeśli nie rujnująca, życiorysu bynajmniej nie dekorowała. Pieniądże drzemały też w szkatułach zamożnych ortodoksów, którzy chętnie unikali pouczeń rabina, powierając kapitałik rzutkiemu menadżerowi. Ten korzystnie angażował ich gotowiznę w branże, których rebe pewnie nie uznałby za godne pobożnego Żyda. Franciszek Dawid wołał poddać się raczej boskiemu oburzeniu, niż trwać w bogobojnej biedzie.

Moszkowicz zręcznie zawierał znajomości, budził przy tym zaufanie, prowadząc interesy czysto, ale odważnie, czasem brawurowo. Powiadało, że zmienia szare na złote. Dopuszczał „świeżej krwi” w geszefty stare jak świat, równocześnie porywając się na całkiem nowatorskie, z pozoru szalone pomysły. I tak oto w latach 1902–1913 był między innymi współwłaścicielem modnej kawiarni „Europejska”, urządzonej na rogu Jagiellońskiej i 3 Maja, pod numerami 5–7 (w tym budynku również mieszkał), w 1911 objął także istotne udziały w pobliskiej kawiarni „Warszawa” przy placu Smolki. Ale w 1907 roku był też współnikiem korporacji taksówkarskiej we Lwowie, podczas gdy w mieście i okolicach zarejestrowanych było... pięć samochodów!

Patrycjusz i satyr

Przełom stuleci – aż do wybuchu I wojny – to w Galicji czas sporego ożywienia w gospodarce. Lwów pielęgnował swój sto-



Casino de Paris

łeczny anturaż, w którym ambitni przedsiębiorcy poczynali sobie coraz śmielej. Płynąc na tej fali, Moszkowicz 1 marca 1910 roku uruchomił „Casino de Paris”, najślawniejszy w owym czasie przybytek lwowskiej rozrywki. Okazała i efektowna kamienica, wzniesiona przy ulicy Rejtana 3 (a więc o krok od mieszkania Moszkowicza), mieściła cały kompleks restauracyjno-rozrywkowy z pokojami hotelowymi i świetnym zapleczem dla występów artystycznych.

„Gazeta Lwowska” entuzjastycznie relacjonowała otwarcie obiektu, który trudno było wówczas jednoznacznie przedstawić – restauracja, teatr, dom rozrywki, kasyno towarzyskie, klub gastronomiczny? Nikt wcześniej nie próbował zmieścić tak wiele, na tak niewielkiej parceli. Pisano więc nieco wymijająco: „miejsce niezbyt rozległe, wyzyskano bardzo umiejętnie, stwarzając całość pod względem architektonicznym istotnie piękną”. Chwalono zwłaszcza salę widowiskową: „niezbyt wysoka, z gotyckim sklepieniem, bogato polichromowana, inkrustowana rzeźbami również w charakterze staroniemieckim, nabiera dopiero właściwego życia w blasku lamp elektrycznych”. Parter wypełniały stoliki, wokół głównej powierzchni rozmieszczono łoże tworzące dyskretny

krużganek – wszystko to miało służyć za widownię i restaurację zarazem. Zdobienia malarskie wyszły spod ręki Zygmunta Balaka, wziętego w owym czasie dekoratora teatrów Skarbkowskiego i Wielkiego. Rzeźby wykonał Franciszek Bernat, artysta często angażowany przez architektów pracujących we Lwowie, kamienica Moszkowicza należy jednak do jego najwybitniejszych osiągnięć. Sensację budziła kurtyna pędzla Feliksa Wyrzywalskiego. Utrzymane w orientalnej manierze malowidło przedstawiało dekadenczną wizję bachanaliów. „Na łące pełnej fioletowych i żółtych irysów – referowała »Gazeta Lwowska« – pod gajem piniowym, a w pobliżu morza, które na ostatnim planie się znaczy, w postaci półleżącej odpoczywa patrycjusz rzymski, stary już, z twarzą satyra, z resztką biesiadnego wieńca na łysej głowie, a wokół niego tańczy sześć bachantek, przekomarzając się z nim i jakby drwiąc, że bachanalia już go z nóg ścięła. Siódma bachantka przygrywa na piszczałce”. Sensacja kryła się rzecz jasna w tym, że ów upadły satyr do złudzenia przypominał... Franza Moszkowicza.

Na inaugurację zaproszono wpływowych rajców miejskich, elity liczących się profesji, finansjery, prasy, luminarzy lwowskiej kultury i – o to Moszkowicz szczególnie zabie-

gał – żony co znacześniejszych osobistości. „Program wieczoru, elegancki i urozmaicony, zyskał ogólne uznanie – donosiła »GL«. – Całość trzymana była w tonie dyskretnym i nie raziła trywialnością, co jest dobrą wróżbą na przyszłość i rokuje temu przedsiębiorstwu powodzenie”.

Lwów to on!

Realizacja tego pomysłu pociągnęła za sobą fortunę i, aby osiągnąć wróżone przez „Gazetę Lwowską” powodzenie, Moszkowicz musiał poszerzyć grono tych, którzy jadal i pili w lokalach. Zdawać się mogło, iż Lwów ma tak ugruntowane zasady „bywania”, że zmieniają się, gdy „na cytadeli będą kwitneli moreli”. Lwowskie kawiarnie należały głównie do mężczyzn, „na mieście” jadal także oni. W bufetach, pokojach śniadaniowych, jatkach, szynkach i droższych, przeważnie hotelowych restauracjach, jeśli spotykano kobiety lub rodziny, były to „wypadki specjalne”. Nie istniał zwyczaj rodzinnego spędzania czasu „po knajpach”, porządne „lwowskie państwo” żywiło się w domu. Moszkowicz musiał zatem wywołać małą rewolucję obyczajową, miał bowiem nadzieję na lepsze wykorzystanie czasu pracy swoich zakładów, ożywiając martwe dotąd godzi-



Casino Lwów

ny, kiedy lokale świeciły pustkami, choćby w niedzielne popołudnia. Ponadto w jego mniemaniu ta męska dominacja ograniczała rozwój, czyniła ofertę monotonna, sprowadzała aspiracje restauratora do prostego wyszynku, opartego ostatecznie na „wódce i zakąsce” w późnowieczornych godzinach. Franz chciał zarabiać cały dzień, wystawiając „efektywny rachuneczek” za „efektowną robótkę”. Dostrzegając wielki potencjał w konsumenckiej kreatywności córek i żon zamożniejszych lwowian, dlatego pilnie zabiegał o aplauz szacownych dam.

Jego restauracja miała być miejscem kulturalnym par excellence. Artystyczny kafelet we Lwowie w tym czasie zaledwie się tworzył, błagając się, póki co, raczej „za parawanem”. Nierzadko zdarzało się, że w jakimś szynku czy tingel-tanglu ktoś występował, jednak w repertuarze bliższym bruku niż salonu. Moszkowicz jako pierwszy zapraszał do „Casino” zarówno kameralne zespoły filharmoników, jak i gwiazdy kafeletów artystycznych, operowe i operetkowe divy obok renomowanych tancerzy i komików. Reklamował swoje programy jako „familijne” tak skutecznie, że wkrótce bywanie wieczorami w lokalach stało się zwyczajem statecznego mieszczaństwa i inteligencji. Franciszek Moszkowicz, zgodnie z przewidywaniami „Gazety Lwowskiej”, na przekór sceptykom z branży, mógł się uważać za „króla lwowskich kawiarni” i bezkonkurencyjnego wizjonera.

Wizja twórcy „Casino de Paris” zmieniała się z czasem. Moszkowicz miał niezawodny „słuch rynkowy”, na kilka lat zmienił nazwę na „Teatr Bagatela”, a w latach 20. usłyszał wszechobecny „jazz band” i postawił na taniec, który zresztą sam lubił i w swojej karierze współpracował z najlepszymi muzykami rozrywkowymi epoki. Kiedy we Lwowie powstała rozgłośnia radiowa, pierwsze muzyczne transmisje prowadzono właśnie z „Bagateli”. Atmosferę tamtych lat świetnie oddaje Krukowski, który poznał Moszkowicza w czasie występów „Qui Pro Quo” we Lwowie w roku 1927. „Znalazłem się w towarzystwie Mundka [Emanuela] Szlechtera w wytwornym nocnym lokalu »Bagatela«. Nie zdążyliśmy jeszcze usiąść przy stoliku, a już kelner, nie proszony, postawił na stole butelkę francuskiego koniaku. Pamiętam jak dziś, »Meukowa« z czerwoną kapsłą.



Franz Moszkowicz – Adria

Zdziwiony, zapytałem go, kto zamawiał ten dość drogi na ówczesne czasy trunk. Odpowiedział krótko: – Gospodarz! – Jaki gospodarz? – Pan Moszkowicz. – Kto to jest pan Moszkowicz?

– Ta nie strugaj pan dobrodziej ze mnie wariata... – usłyszałem zamiast odpowiedzi. – Pan nie wie, kto Moszkowicz?

Mundek Szlechter szepnął mi do ucha: – To właściciel »Bagateli«.

– No dobrze, ale dlaczego stawia koniak? W tym momencie przy stoliku zjawił się sam Franciszek Moszkowicz. Nie przedstawiając się i nie witając, powiedział krótko: – Panie Krukowski, pan jesteś gościem we Lwowie, a Lwów to ja!”

Wielki rejs

Po 1918 roku stołeczną energią odzyskiwała Warszawa. Rodzić warto się było „tylko we Lwowie”, jak po latach w słynnej piosence zapewni wspomniany Emanuel Szlechter, ale wielkie kariery jeździło się robić w Warszawie. Moszkowicz także poruszał się coraz dalej od „starego Lembryczka”. „Pieniądz jest niespokojny”, powiadano w tamtych czasach. Franz wchodził zatem w rozmaite aliansy w Krakowie, Zakopanem, Rabce – jednak wszystkie drogi wiodły go do stolicy. Kiedy na przełomie lat 20. i 30. wydawać się mogło, że „pieniądz już nie

żyje”, skutki światowego kryzysu mordowały kolejne branże, pod komorniczym młotkiem padali następni „aferzyści”, Franz postanowił wypłynąć ze Lwowa wprost na – nomen omen – Adriatyk.

W 1929 roku działające na terenie Polski włoskie towarzystwo ubezpieczeniowe „Riunione Adriatica di Sicurtà”, zgodnie z przepisami fiskalnymi część zysków lokujące w Polsce, zbudowało przy ulicy Moniuszki w Warszawie gmach, w którym parter i podziemia zamierzało przeznaczyć na działalność usługową.

Poszukiwano odpowiedniego partnera i pomocną dłoń wyciągnął zaprzyjaźniony z Włochami Bolesław Wieniawa-Dłogoszowski, który zapewnił, że nikt lepiej niż Moszkowicz do tej roli się nie nadaje. Wieniawa, który młodość spędził we Lwowie, mieszkał przy tym, można powiedzieć w „centrum Franza”, bo przy 3 maja, przyjaźnił się z „królem lwowskich kawiarni” od dawna. Włoscy decydenci także zetknęli się z jego legendą, we Lwowie miała bowiem siedzibę galicyjska centrala firmy i jej zarząd wiedział doskonale, że „Lwów to Franz”.

Moszkowicz zapowiedział, że stworzy najnowocześniejszy i najwytworniejszy lokal w Warszawie, ale w negocjacjach z kierownictwem „Adriatiki” oznajmił, że widzi się tylko w roli współnika, pozostali udziałowcy zaś mają mu „dać wolną rękę” i grzecznie partycypować w ryzyku. Tak został akcjonariuszem i dyrektorem, ba, imperatorem „Adrii”,

też, jak orzekł Tuwim, „towarzyskiej archikatedry” dwudziestolecia międzywojennego.

Zięć Moszkowicza, Henryk Ritterman-Abir, w ogłoszonej w Izraelu książce *Nie od razu Kraków zapomniano* wspomina, jak liczni doradcy próbowali go zniechęcić do tej, ich zdaniem, samobójczej szarży. „Najelegantszy lokal stolicy »Oaza« ledwie

zিয়ে, inne lokale nocne dogorywają, to czego pan, lwowski Żyd, może dokazać na warszawskim bruku?” Moszkowicz pozostawał niewzruszony. Ritterman opowiada także, jak w trakcie budowy „Adrii” Franz odwiedził „Colombinę”, nocny lokal po przeciwnej stronie ulicy Moniuszki, gdzie „musiał wysłuchać biadolenia członków orkiestry, kelnerów i właściciela. – Jak pan otworzy »Adrię«, to będę musiał zamknąć. Moszkowicz uspokoił go krótko: – »Adria« was uratuje, interes wasz rozkwitnie. Kto nie dociśnie się do przepelnionej »Adrii«, przyjdzie do was”.

Epidemia adriatica

Wątpliwości restauratorów nie brały się li tylko z niechęci do konkurencji, wiele renomowanych lokali w Warszawie dopiero co upadło bezpowrotnie. Jednak rację miał Moszkowicz. „Adria” od początku pękała w szwach, a sensację, dzięki umiejętnym zabiegom „króla ze Lwowa”, budziła na długo zanim wpuszczono pierwszych gości. Architekci Edward Eber, Jerzy Gelbard, bracia Sigalin i Edward Seydenbeutel pracowali pół roku. Prasa, umiejętnie sycona przez Moszkowicza „sekretnymi ciekawostkami”, zapowiadała, że Warszawa otrzyma „wspaniały lokal rozrywkowy, wielką kawiarnię reprezentacyjną i wspaniały dancing, w których komfort w połączeniu z wyrafinowanym smakiem złożą się na całość wysoce artystyczną, godną stolicy wielkiego państwa”. Emocje budziły zarówno doniesienia o kosztownych boazeriach z różanego drewna intarsjowanego palisandrem, meblach według specjalnych wzorów z renomowanej firmy Thonet-Mundus czy zamówienia porcelany i platerów projektowanych wyłącznie dla przyszłej „Adrii” – Moszkowicz okazał się mistrzem stopniowania napięcia i szepcanej reklamy na niespotykaną dotąd skalę.

Po otwarciu 7 lutego 1931 roku reporter tygodnika „Świat” obwieścił, że „pierwsze wrażenie po obejrzeniu »Adrii«, da się określić dwoma lapidarnymi słowami: zaczarowany pałac!” Wchodząc przez kryształowe drzwi do przestronnego hallu, stamtąd niemal wprost do pierwszego w stolicy, ogromnego baru w stylu amerykańskim, sąsiadującego z kwitnącym, ptasio rozśpiewanym ogrodem zimowym pod unoszącą się wysoko kawiarnianą antresolą – zaiste



wchodziło się do „nowego świata” warszawskiej gastronomii. I taka myśl przyświecała Moszkowiczowi. „Adria” miała być jak nowy kontynent na mapie polskiej rozrywki – rozległej, bogatej w tradycje, ale osadzonej dotąd w europejskiej, wiedeńsko-paryskiej manierze. Moszkowicz zakreślał te granice znacznie szerzej.

Kazimierz Krukowski powiadał, że Franz stworzył cały „kombinat rozrywkowo-alkoholowy”, i rzeczywiście, goście mieli do wyboru kilka przebogatych bufetów. Dwa z nich działały w podziemiach przeznaczonych głównie na mieszczącą 800 osób salę taneczną z podłogą wyłożoną antypoślizgową gumą Pirelli i obrotowym parkietem. Wokół urządzono łoża i otwarte przestrzenie restauracyjne pośród marmurów i boazerii z polerowanego orzecha kaukaskiego, z którego wykonano także meble.

Ostateczny efekt architektki powierzyli światłu. Według „Świata” samych żarówek zastosowano ponad siedem tysięcy, jednak zasadnicze znaczenie miały instalacje pozwalające zmieniać barwę, temperaturę i natężenie oświetlenia tak, by harmonizowało nie tylko z użytymi materiałami i konstrukcją wnętrza, ale również z nastrojem muzyki i bogatego programu artystycznego „Adrii”.

W czasach, gdy do bon tonu należało nieskrępowane palenie papierosów i cygar, przebojem była też najnowocześniejsza naówczas wentylacja i klimatyzacja, wymieniająca powietrze, jak podawał „Świat”, pięciokrotnie w ciągu godziny. Lokale Moszkowicza słynęły z czystości, również „za kulisami”. Nie inaczej było w „Adrii”. „Urządzenia te są wyrazem najbardziej nowoczesnych wynalazków techniki i nauki – pisał reporter wizytujący restauracyjne zaplecze. – Automatyczna maszyna do zmywania naczyń oraz cała niezliczona ilość różnych maszyn, maszynek, przyrządów kuchennych składają się na tę wzorową kuchnię, której najbardziej wymagający higienista nie miałby nic absolutnie do zarzucenia”.

Elitarne „Wiadomości Literackie” ogłosiły, że „w Warszawie panoszy się »epidemia ad-



Franz Moszkowicz w gronie przyjaciół

riatica», a rzesze adrioamatorów rosną z dnia na dzień”. Uspokajano zarazem, że infekcja jest niegroźna dla zdrowia bo „»Adria« jest jasna, wesola, czysta. Wszystko nastraja pogodnie i przyjemnie, przytem niesłychanie różnorodnie, a kuchnia to istne laboratorium”. Prasa popularna uznała „Adrię” za „ósmą cud Warszawy”, a publiczność najwyraźniej podzieliła ten pogląd, skoro dziennie lokal odwiedzało nawet 2,5 tysiąca gości, według branżowych obliczeń zaś do jesieni 1933 roku łączna liczba wyniosła 2,5 miliona.

Konieczne azylum

„Pewnego jesiennego wieczoru w 1933 roku siedziałem z Tuwimem i jego piękną żoną w »Adrii«, w łoży przy ogromnej sali dancingowej. Na sali tłum, półtora tysiąca par podskakiwało rytmicznie i śpiewało jednym, ogromnym głosem moją piosenkę. Jeżeli w jakiejś chwili czułem się »wieszczem narodowym«, to właśnie wtedy”. W tym wspomnieniu – i wyznaniu zarazem – Marian Hemar krystalizuje tajniki profetycznych talentów Moszkowicza. Największe ryzyko swego życia podejmował wprawdzie u schyłku szalonych ekonomicznie lat 20., ale miała pierwsza dekada wolnej Polski, ludzie tego czasu potrzebowali „wieszczów” zręcznie dawkujących euforię i słodzących gorzyc niepewności. Z „Adrii”, świetnie nadającej się do roli „wieszczego gaju”, chciał uczynić miejsce, w którym aspiracje, emocje, blichtr i ambicje znajdą ujście, kołyszając wyznawców w komfortowym przekonaniu, że należą do wielkiego i wolnego świata.



Tak jak Hemar znacznie przeszacował liczbę par na parkiecie (müsiałby mieścić, bagatela, 3000 osób!), także nieco przesady było w gazetowych zachwytach nad architektonicznym geniuszem „Adrii”. Specjaliści nie szczędzili uszczypliwości, które tonęły jednak w powszechnym zachwycie publiki. Nawet „Architektura i budownictwo”, najpoważniejsze wówczas pismo fachowe, wyliczywszy ułomności, wznosiło się ponad inżynierską pedanterię, filozofując, że w tych czasach „kawiarnia jest jednym z najbardziej demokratycznych rozwiązań kwestii miejsca odpoczynku, spotkań, wreszcie rozrywki dla szerołkich warstw inteligencji, jako konieczne azylum nowoczesnego człowieka staje się szkołą estetyczną dla przeciętnego obywatela, wykładnikiem smaku nowoczesnego i wykwintu”. „Adria”, zdaniem autorów, spełniała tę powinność w sposób naonczas modelowy.

W pojęciu, z jaką siłą ów mit rozwijał się w zbiorowej wyobraźni, pomoże nam cytowany już Marian Hemar. W jednym z jego przebojów pojawia się dziewczyna, która „posadę w sklepie ma i pracuje dzień po dniu za 120 złotych na miesiąc”. W śpiewanej fabulce mówi o tym ukochany skromnej subiektki. W refrenie zapewnia słuchaczy, że „tym więcej i tym goręcej kocha ją”. Oznajmia w końcu, że już niebawem tak oto ją uszczęśliwi:

W sobotę do Adrii pójde z nią,
Pokażę jej ten świat, o którym pewnie marzy
Po całych dniach i nocach
O którym tylko z kina wie.
I pewnie złoty bar zaimponuje jej...

Hemar na marginesie swego utworu przeżył zabawną przygodę. „Kiedyś przyszedłem w nocy do Złotego Baru w Adrii, tam właśnie występował znany muzyk Elektorowicz. Gdy wszedłem, on akurat śpiewał moją piosenkę, ale zauważyłem, że zmienił słowa refrenu i słyszałem: »moja dziewczyna pracuje w sklepie za 150 złotych...« Zwróciłem mu uwagę i zapytałem, dlaczego śpiewa inaczej. On mi odpowiedział – Panie Marianie, tu jest taki elegancki lokal, myślałem, że 120 złotych to za mało. Dałem jej podwyżkę na »Adrie«...”

Interes i figle

Moszkowicz wyznaczał sobie cele z wizjonerską przenikliwością, ale nade wszystko chciał, jak sam powiadał, „z należytą przyjemnością zrobić dobry interes”, grając w nim – niby onegdaj na kurtynie „Casino de Paris” – rolę po trosze patrycjusza, po trosze satyra. W utrwalaniu tego wizerunku pomagały mu nie tylko urok osobisty i poczucie humoru, także nadzwyczajna pracowitość i profesjonalny talent. Ludwik Lawiński, gwiazdor estrady, niegdysiejszy lwowiak, pisał o Moszkowiczu jako „genialnym wprost kierowniku nocnych lokali”. „Niebywale uprzejmy dla gości, pomysłowy w układaniu programu swoich imprez artystycznych, respektujący zwłaszcza tańce polskie, w których się kochał, niezastąpiony był Moszkowicz, jeśli chodziło o spławienie pijanego gościa z lokalu. Robił to w sposób delikatny, bardzo dowcipny i bez odrobiny brutalności”.

Kazimierz Krukowski podkreślał, że „Moszkowicz uważał za punkt honoru osobiście przywitać się z każdym gościem, klientem, który cośkolwiek sobą reprezentował, czy to minister, czy generał, dyrektor banku, prezes spółki akcyjnej, aktor, literat czy dziennikarz. Miał zarezerwowanych parę stolików dla swoich wybranych gości, których witał zawsze tym samym powiedzonkiem: – Właśnie dla pana ministra (dziedzica lub

redaktora) specjalnie trzymałem ten stolik całą noc”.

Franz bez wątpienia miał szczęście do ludzi, zarówno *en gros*, świetnie wyczuwając potrzeby klienteli, jak i do osobistych znajomości i przyjaźni. Do najślynniejszych należał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ongiś sąsiad i bywalec lwowskich „latyfundiów” Franza, a w czasach „Adrii” najgłośniejszy bodaj przedstawiciel establishmentu międzywojnia. „Epidemia adriatica” nierozzerwalnie wiąże się z jego legendą i opasłą antologią można ułożyć z facecji i skandali wiążących go, słusznie czy nie, z tym miejscem.

W najpopularniejszej z anegdot wjeżdża tam konno, a powielający tę plotkę bynajmniej nie zważają, że wśród wykluczających jej prawdziwość okoliczności na pierwszym miejscu jest ta, że szczerze kochający konie Wieniawa takiej tortury zwierzęciu by nie zadał. Legenda związała „Adrię” z „pięknym Bolkiem” (wedle określenia A. Słonimskiego), bo był emanacją czasu, swoistym fantomem całego pokolenia, symbolem „sarmackiego tryumfu”, zatem każdy fantazyjny skandalik wyglądał efektywniej, jeśli urządził go Wieniawa, a działo się to jakoby w „Adrii”.

Sensacyjną reputację zręcznie wspierał sam Moszkowicz. Stale rozwijał kontakty wśród wpływowych elit, angażował gwiazdy i gwiazdeczki, używał wewnątrz lokalu filmowcom, osobiście występował w programach artystycznych lub popularnych produkcjach kinowych, między innymi w komedii „Eks-celencja subiekt”, w której pojawił się we własnej osobie jako szef „Adrii”.

Henryk Ritterman wspomina, że teść sły-
nął też z „kawałów, które improwizował, żeby komuś spłatać figła, zrobić kogoś w konia, nauczyć moresu, wykpić czyjeś śmieszności lub słabostki, a przede wszystkim okrasić szarżynę życia i dać prasie wdzięczny temat”.

Sam stał się bohaterem jednej z największych plotek poruszających stolicę. Długo bowiem trwało przekonanie, że Moszkowicz poddał się kuracji odmładzającej, i to głośną wówczas, szarłatańską metodą Serge’a Voronoffa, a więc za pomocą przeszczepienia małpich gruczołów. Któregoś dnia pojawił się z widocznym na szyi opatrunkiem założonym po jakimś drobnym zabiegu dermatologicznym. Spotkany dziennikarz zagadnął o przyczynę, na co Franz odparł, że aby nieco cofnąć metrykę, wszczepiono mu gruczoły

goryla. „Prosił przy tym reportera – pisze Ritterman – aby zachował tę informację w tajemnicy, polegając na jego zawodowej niedyskrecji. Dziennikarz przyrzekł, że nie zrobi użytku z tej rewelacji, po czym – zgodnie z intencją Moszkowicza – pobiegł do telefonu. Informacja stała się sensacją dnia. Panowie na emeryturze seksualnej pytali go o samopoczucie po operacji. Moszkowicz odpowiadał, że czuje się jak Wezuwiusz, w którym wzbiera lawa. Jeśli młoda żona starego męża pytała o efekt operacji, Moszkowicz radził: – Najlepiej niech pani dobrodziejka sama się przekona, jestem w każdej chwili do dyspozycji”.

Cztery razy „P”

„Dobrodziejki” otaczały go zresztą licznie i gorliwie. Moszkowicz przez wiele lat był wdowcem, jego żona zmarła w wieku 38 lat, przed śmiercią długo cierpiała, między innymi na otyłość wywołaną przez chybione terapie innych schorzeń. Był w niej najszczerzej zakochany, do legendy przeszedł dzieje lwowskiego fryzjera, który miał pecha niewłaściwie obsługiwać Fanię Moszkowicz. Urażony Franz uznał, że ów nie tylko lekceważy żonę „patrycjusza”, ale hańbi żydowski etos handlowy. Otworzył więc tuż obok własną fryzjernię, zatrudnił doborowy personel i prowadził ją tak długo, aż „ukarany partacz” opłacił się dotkliwą sumą za zaprzestanie konkurencji, ślubując Moszkowiczowi nie kalać honoru żydowskiego fryzjera.

Umierającej Fanii obiecał powtórnie się nie ożenić i słowa dotrzymał. Ale, jak pisze zięć, „w przeciwieństwie do świętego Franciszka z Asyżu, Franciszek ze Lwowa nie był święty; miał wielkie powodzenie u kobiet i umiał to wykorzystać”.

Na wygodne miejsce w niebie starał się zasłużyć na innych odcinkach. „Sły-
nął z tego, że miał złote serce i szeroki gest – pisze Ritterman. – Dawał najdroższe upominki świąteczne i prezenty ślubne oraz największe napiwki. Podczas gdy krakowscy centusie zwykli wsuwać dozorczy w łapę 20 groszy za otwarcie bramy »po szperze«, on potrafił dać nie mniej niż 5 złotych”.

Zdaniem Rittermana pomaganie było „jego pasją i hobby. Warto było widzieć, jak wyglądała wytworna »Adria« nawiedzona przez lwowiaków, prostych, szarych ludzi

(nie eminenccje), gdy pociąg »Dancing-brydż« przywoził ich hurtem do Warszawy. Witając ich serdecznie, gościł, pytał, wysłuchiwał, starał się załatwić o co go proszono, i to nie odmownie jak władze i urzędy, ale pozytywnie. On miał łatwy dostęp do ludzi na szczytach, a mali ludzie mieli łatwy dostęp do niego. Przez jego biuro przepływał stale rwącym nurtem strumień nie tyle interesantów, co petentów. Jego sekretarka osobista była przeciążona udzielaniem odpowiedzi na listy kategorii »P« – czyli prośby o cztery »P«: poradę, pomoc, pożyczkę, protekcję”.

Jeśli ktoś z przyjaciół w potrzebie lekko-myślnie nie zwrócił się do Franza, narażał się mu srodze. Doświadczył tego Hemar, który zgrał się onegdaj w sopockim kasynie i nie miał grosza na wyrównanie rachunku hotelowego i bilet powrotny. Alarmował telefonicznie kilka bliskich sobie osób w Warszawie, które działały jednak bez pośpiechu, i słyszący z osobistej dumy Hemar musiał kilka dni czekać pokornie na zbawienną gotówkę. „Widocznie nie miałaś do mnie zaufania. To wykreśl mnie łaskawie z listy swych przyjaciół” – sarknął, dowiedziawszy się o wszystkim, Moszkowicz, biorąc pominięcie go za nietakt i afront.

Wedle współczesnych zwykle nie dąsał się długo, a jego ekscentryczna natura i wielkoduszność spłotyły się legendarnie w jak najprawdziwszym zapisie testamentu, w którym nakazał zniszczyć wszystkie weksle wystawione przez znane mu osoby i pokrycie z jego osobistego majątku braków w kasach przedsiębiorstw.

Bombowa puenta

W połowie lat 30. kilka dekad nocnego życia zaczęło się odbijać na jego zdrowiu. Doszedł do tego konflikt z niesolidnymi współnikami i powstałe stąd kłopoty z lwowskim fiskusem. Lekarze zalecali Moszkowiczowi, by się wycofał z interesów lub przynajmniej ograniczył aktywność. „Wybrał więc solidny Kraków, gdzie bramy zamykano o dziesiątej – pisze Ritterman. – Nie mogąc się jednak pogodzić z myślą o całkowitej bezczynności, przerzucił się do obcej mu kompletnie branży filmowej, którą traktował jako przyjemne, interesujące, spokojne zajęcie”.

W Krakowie prowadził interesy już wcześniej, między innymi „kawiarnię-cukiernię-

-dancing-bar »Feniks«,” jednak było to dlań za mało emocjonujące. Prowadzony przez córkę Moszkowicza (raczej tytułarnie) teatr „Bagatela” został więc w 1938 roku przebudowany na wytwórnię kinoteatr „Scala”, stając się jedną z najnowocześnie wyposażonych sal projekcyjnych w Europie.

Franciszek Dawid Moszkowicz, król lwowskich kawiarni, imperator warszawskiej „Adrii”, czuły „satyr” i wielkoduszny „patrycjusz”, zmarł podczas kuracji w Rabce w kwietniu 1939 roku. Życzył sobie, żeby pochować go we Lwowie. „Jego pogrzeb z udziałem tysięcy lwowiaków, Żydów i nie-Żydów, był wzruszającą demonstracją szacunku, sentymentu i przywiązania do »Franza«. Lwów pozostał mu wierny” – podsumował wspomnienia o swym wybitnym teściu Henryk Ritterman-Abir. Pożegnanie Moszkowicza było bodaj ostatnim tak wielkim konduktem w polskim Lwowie.

Spośród jego przedsięwzięć najbardziej symboliczny los spotkał „Adrię”. Po zajęciu Warszawy przez Niemców lokal oznaczono oczywiście „nur für Deutsche”. W 1943 roku śmiertelnie chory żołnierz AK dokonał w nim samobójczej akcji podczas dancingu, zabijając trzech hitlerowców. W czasie powstania zorganizowano tam stołówkę, a 18 sierpnia 1944 kilka piętér budynku przy Moniuszki przebita – nie detonując – olbrzymia, ważąca półtony bomba. Wryła się wprost w posadzkę dawnej sali tanecznej w podziemiach „Adrii”. Materiał wybuchowy wydobyty z niewypału przekazano powstańczej wytwórni granatów. Porzucony czerep przeleżał na terenie posesji aż do rozpoczęcia w połowie lat 60. budowy tzw. ściany wschodniej. Wówczas przeniesiono go do ogrodu Muzeum Wojska Polskiego, gdzie wciąż można go oglądać. Próbując tchnąć życie w gierkowskie śródmieście stolicy, w dawnych pomieszczeniach otwarto restaurację pod przedwojenną nazwą, ale rozplynęła się bezbarwnie w dziejach perelowskiej gastronomii.

Prawdziwa „Adria” przetrwała tylko we wspomnieniu i anegdocie, w której najwięksi birbanci lat 30. wirują przy tangach Goldów, Petersburskiego czy Freda Melodysty. Niemiecki pocisk pokonany przez taneczną krąg tamtej „Adrii” to zrządzenie losu, które Franz Moszkowicz bez wątplenia uznałby za figiel godny jego fantazji.